

PAUza

Akademicka



Rok XIX

Tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności Nr 783

Kraków, 10 września 2026

pauza.krakow.plpau.krakow.pl

Erozja

ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI

Erozja według słownika języka polskiego oznacza żłobienie powierzchni ziemi przez wody, wiatr i lodowce. Z nauk o ziemi termin ten przeszedł do nauk społecznych, gdzie oznacza stopniowe niszczenie wartości i norm postępowania. Jest to proces szczególnie groźny dla państw o niezbyst silnie ugruntowanym ustroju prawnym i słabych rządach.

Już dawno temu Mikołaj Kopernik zauważył, że proces erozji dotyka także spraw monetarnych. W swej rozprawie *Sposób urzędzenia monety* z 1526 roku napisał: „Rzeczą iest niezawodną, iż kraie, w których iest dobra moneta, płodów sztuki, rzemieślników wybornych i wszystkich mają podostatkiem; przeciwnie zaś w państwach gdzie iest zła moneta, przez nieczynność i gnuśność uprawa pięknych nauk i wykształcenie władz duszy iest zaniedbywane, i we wszystkim niedostatek czuć się daie”¹.

W Polsce w ostatnich dekadach obserwujemy silną erozję w sferze edukacji, nauki, tytułów i stopni naukowych.

Przed wojną ukończenie studiów skutkowało dyplomem magistra (inżyniera, magistra inżyniera). Kolejnym stopniem naukowym był doktorat, którego uzyskanie wymagało napisania poważnej rozprawy. Dalej, na podstawie poważnej, często przeglądowej rozprawy można było uzyskać habilitację, która była ważna TYLKO na uczelni, na której została uzyskana. Wymagała prowadzenia (bezpłatnie!) jakiegoś kursu wykładów na tej uczelni.

W dwudziestolecie międzywojennym profesor był powoływany na katedrę przez ministra oświaty, który zasięgał przedtem opinii WSZYSTKICH profesorów danej specjalności w Polsce i na tej podstawie podejmował decyzję.

Po zniszczeniach wojennych trzeba było szybko odbudować kadry i wtedy przejściowo wprowadzono rozmaite nowe stanowiska, np. zastępcy profesora.

Wkrótce ustanowiono nowy system i powołano Centralną Komisję ds. Stopni i Tytułów Naukowych. Początkowo zatwierdzała ona nawet stopnie doktora i habilitacje nadawane przez uczelnie. Chciano w ten sposób ujednolicić poziom tych stopni i utrzymać je na właściwym wysokim poziomie. Wskutek natarczywych protestów, zwłaszcza pochodzących ze słabszych ośrodków, odstąpiono od centralnego zatwierdzania pojedynczych doktoratów, natomiast pozostawiono Centralnej Komisji prawo do wyrывkowego monitorowania nadawanych stopni i odbierania uczelniom uprawnień do ich nadawania w przypadku stwierdzenia poważnych uchybień.

Kolejnym celem propagatorów erozji jest likwidacja habilitacji. Jej przeciwnicy alarmują, że habilitacja jest niepotrzebna, gdyż ich zdaniem opóźnia proces badawczy. Nie chcą albo nie mogą zrozumieć, że obecne prawo jest niezwykle łagodne. Nie trzeba przecież pisać osobnej rozprawy, ale wystarczy zebrać swoje już opublikowane artykuły, spiąć je i przekazać jako rozprawę habilitacyjną. Oczywiście ludzie, którzy nie mają publikacji, nie mogą skorzystać z tej możliwości i to oni właśnie chcieliby usunąć w ogóle habilitację jako drażniącą ich przeszkodę.

W wyniku tej oddolnej presji najpierw uzyskano pozwolenie na przeprowadzanie habilitacji już tylko na uczelni, bez kontroli przez

Centralną Komisję. Potem samą Komisję zlikwidowano, a w jej miejsce powołano Radę Doskonałości Naukowej, także o ograniczonych kompetencjach.

Kolejnym etapem erozji była likwidacja stopnia docenta. Zamiast tego wprowadzono profesora uczelni, mianowanego już tylko przez rektora i senat. Namnożyło się szybko tych nowych profesorów, nie zawsze odróżnianych od ludzi z „belwederskim” tytułem profesora.

Kilka lat temu byłem recenzentem w przewodzie habilitacyjnym na jednym z czołowych polskich uniwersytetów. Rozprawa habilitacyjna kandydata była na bardzo niskim poziomie. Jej autor wykazał się niezrozumieniem nawet kilku podstawowych spraw. Jego całkowity dorobek stanowiły poza tym 4 (słownie: cztery) raczej słabe artykuły, po polsku. Moja recenzja była druzgocąca, toteż złożyłem wniosek o odrzucenie sprawy. Ku mojemu zdumieniu dwaj pozostali recenzenci dali opinie zdawkowe, kończące się wnioskiem pozytywnym dla kandydata. Resztę członków komisji powołano spośród pracowników tej uczelni. Byłem jedyną osobą „spoza układu”. Moje argumenty zbywano kiwaniem głowami i byłem jedynym głosującym przeciw nadaniu habilitacji. Czuję się upokorzony i zniesmaczony faktem, że ten kandydat będzie samodzielnym pracownikiem naukowym. Może obecnie jest już profesorem tej uczelni i promuje podobne miernoty.

Tyle o stopniach i tytułach naukowych. Teraz o zarządzaniu uczelniami, które w państwach o ustalonym porządku prawnym jest sprawne. Istotne dla działalności uczelni decyzje podejmuje rektor bądź prezydent, który ponosi za to odpowiedzialność i może zostać zdjęty ze stanowiska w przypadku złego postępowania.

W Polsce rektor uczelni ma ograniczoną władzę, gdyż wiele kluczowych decyzji jest pozostawionych senatowi, który jest dużym ciałem, więc jego zbiorowa odpowiedzialność jest rozmyta. Erozja władzy zarządzającej uczelnią rozpoczęła się wraz z uchwaleniem ustawy z 1990 roku. Wtedy rząd, zapewne chcąc mieć spokój od strony studentów i doktorantów, ustalił, że będą oni mieli co najmniej 20 procent miejsc w senatach uczelni oraz tyle samo miejsc wśród elektorów, którzy wybierają rektora. To jest niespotykany wyjątek w skali światowej. Studenci nie mają przecież pojęcia o zarządzaniu uczelnią, są natomiast bardzo podatni na manipulacje i wskutek swej liczebności mogą dość efektywnie zakłócać proces wyborów i administrowania.

Proces erozji postępuje szerokim frontem. Jeszcze stosunkowo niedawno nazwa „uniwersytet” była wyznacznikiem bardzo solidnej nauki i edukacji, a profesor uniwersytetu plasował się na pierwszym miejscu listy zawodów obdarzanych społecznym zaufaniem i poważaniem. To się zmieniło z powodu trudnej do zahamowania proliferacji uniwersytetów. W Polsce mamy ich obecnie już ponad 60 (np. w Krakowie aż 8, tyleż w Warszawie) i to chyba nie koniec, gdyż mamy sporo miejscowości, które uniwersytetu jeszcze się nie dorobiły, a bardzo do tego dążą. Profesor uniwersytetu spadł aż na siódme miejsce zawodów cieszących się społecznym zaufaniem i poważaniem. Tak znika kolejna marka jakości w tej dziedzinie.

Wynikiem erozji są już ich kruszenie i i zamiana w drobniejsze części. Biurokracja dba o to, aby istniał odpowiednik tego procesu w sferze nauki i edukacji. Są to rozdymane do granic absurdu ustawy



► i regulaminy. Przytaczałem na tych łamach (PAUza 667) przykład liczącego 28 stron regulaminu nadawania stopni doktorskich w Instytucie Historii Nauki PAN.

Ustawa o szkołach akademickich z 15 marca 1933 roku miała tylko kilka stron i 62 artykuły. Odtąd liczba artykułów stale wzrastała,

a obecnie obowiązująca ustawa z 2018 roku ma już 470 artykułów (a naprawdę ponad 500, gdyż niektóre numery są zwielokrotnione przez dodatki oznaczone literami). Jest to już licząca prawie 300 stron książka.

Jaki będzie następny etap erozji?

ANDRZEJ KAJETAN WRÓBLEWSKI

Uniwersytet Warszawski
(emeritus)

¹ *Sposób urządzenia monety* przez Mikołaja Kopernika, pierwszy polski przekład Feliksa Bentkowskiego, Pamiętnik Warszawski, sierpień 1816, s. 387–423.

Kolejny krok w stronę biurokratyzacji nauki?

Od początków swojej pracy naukowej z najwyższym szacunkiem traktowałem naukowe konferencje, dawniej organizowane przez uczelnie, instytuty lub towarzystwa naukowe. Ten szacunek był chyba powszechny, skoro we wnioskach awansowych, a potem też grantowych, aktywny udział w konferencjach naukowych był (jest) interpretowany na korzyść wnioskodawców. Mam liczne własne doświadczenia w organizacji sympozjów i konferencji, wiem doskonale, że to duży wysiłek. Jako emeryt obserwuję interesujące zmiany w tej dziedzinie. Otrzymuję liczne zaproszenia (więcej niż dawniej!) do udziału w konferencjach, miłe, lecz często wprawiające w zakłopotanie. Nierzadko się bowiem zdarza zaproszenie na konferencję wyraźnie spoza dziedziny, w której pracuję (teraz jako wolontariusz), za to obfitujące w komplementy i tak dalej. Zaskakujące jest również to, że organizatorami konferencji są raczej jakieś przedsiębiorstwa niż instytucje naukowe. W tej grupie jest np. BIT Congress, firma mająca siedzibę w Dalian (Chiny), która w ciągu mijającego ćwierćwiecza zorganizowała ponad 300 konferencji na całym świecie. Są też poważne instytucje akademickie, jak SRH University w Berlinie, też zapraszające na konferencje za pieniądze. Tego nie krytykuję, zwracam jedynie uwagę na to zjawisko. Kilkakrotnie zdarzyło mi się przyjąć zaproszenie, bo nie przyszło mi na myśl, że zaproszenie na koszt organizatora (wpisowe i pobyt w dobrym hotelu) może pochodzić od kogoś czerpiącego z tego korzyści finansowe. Nie zmalowałem, bo wprawdzie z programem bywało rozmaicie, ale zawsze udawało się znaleźć coś interesującego. A państwowy grosz nie był na mnie wydawany, więc w porządku. Ciekawe, że zazwyczaj konferencje takie są organizowane nie na uczelniach, lecz w hotelach, od dawna przystosowanych do takich funkcji. Niektóre nawet specjalnie przebudowały np. podziemia, by tam urządzić konferencje. Myślę, że hotele luksusowe kiedyś budowano z myślą o klienteli z grubszymi portfelami, ale ta z biegiem lat wzbogaciła się o jachty, wyspy i własne centra luksusu, a hotele, by się utrzymać, przyjmują zbiorowe wycieczki i konferencje najróżniejsze, w tym naukowe. Nie dziwię się temu, konferencje w hotelach to nie nowy wynalazek. Pamiętam przykładowo, że doroczne zjazdy Amerykańskiego Towarzystwa Chemicznego organizowano w centrach dużych miast, gdzie w odległości spaceru było kilka dużych hoteli i tam miały miejsce obrady sekcyjne znacznych rozmiarów, a obrad plenarnych nie było w ogóle, bo potrzebny na to byłby stadion... Dość dawno temu UE zapoczątkowała wsparcie finansowe konferencji naukowych, co uważam za bardzo słuszną strategię. Ale ostatnio odnoszę wrażenie, że biurokratyczne kryteria awansowe w nauce stworzyły specjalny klimat sprzyjający deprecjacji osiągnięć konferencyjnych. Organizatorzy to znakomicie wyczuli, toteż gdy rozsyłają zaproszenia do poprowadzenia wykładów różnych kategorii, *keynote speech* jest podstawowy. Nietrudno uzyskać coś takiego. Zwłaszcza jeśli ma się fundusze na odpowiednie wpisowe. I potem można się wykazać 'wykładem na zaproszenie', organizatorzy chętnie wystawią

odpowiednie zaświadczenie. Istnieje od pewnego czasu zjawisko zwane predatory conferences, jednakowoż jego oceny, jakie można znaleźć w Internecie, są raczej przerażające. W tym miejscu się tym nie zajmuję, gdyż Internet oferuje także zestaw kryteriów charakteryzujących taką działalność, więc ułatwia należyte reakcje, ale martwi mnie, że funkcjonuje coś na pograniczu powyższego zjawiska i konferencji rzetelnych. Zastanawiające są rozmaite podobieństwa między tymi 'zaproszeniami', wysyłanymi wprawdzie przez różnych organizatorów, ale wyglądającymi jakby wszystko przygotowywała jedna organizacja. Typowy zestaw to wpisowe: 599 (dolarów lub euro) od *keynote speaker*, 699 od słuchacza, 799 lub więcej od osób z przemysłu i tak dalej, ze zniżkami dla studentów lub grup, czy specjalnymi cennikami dla wystawców. Nie mam cierpliwości, by to analizować szczegółowo, ważne wydaje mi się wszakże stwierdzenie ogólne, że powstał 'przemysł konferencyjny', zatem oprócz publikowania za pieniądze mamy już konferencje za pieniądze. Formalnego zestawienia dorobku naukowego, gdzie oprócz spisu publikacji podaje się listę zaproszeń na konferencje, nie można już traktować jako materiału solidnie świadczącego o pozycji naukowej, lecz raczej o sukcesie typu biznesowego. Myślę, że jest to naśladowanie znanej nie od wczoraj praktyki niektórych naprawdę wybitnych profesorów amerykańskich, którzy swe referaty konferencyjne wieńczyli fotografiami wieloosobowych zespołów badawczych i, ogólnie, kładli nacisk na dorobek ilościowo znacznych rozmiarów. Stąd już tylko krok do potraktowania prezentowanego wzorca jako obowiązującego szablonu. Ale może się mył, przyczyny mogą tkwić np. w sposobach finansowania badań. Na takim tle nadal mamy rzetelną naukę i świetne konferencje, wszystko pod wodzą wybitnych uczonych i organizacji naukowych. To, co opisałem powyżej, stanowi margines, aczkolwiek rosnący i pożerający część funduszy na naukę. Nie wykluczam też, że konferencje organizowane w stylu komercyjnym mogą pełnić pozytywną rolę, niemniej pytanie, czy tak jest, pozwalam sobie kierować do czytelników PAUzy. Ale na zakończenie, by w pewnym sensie usprawiedliwić powyższy tekst, pozwolę sobie zacytować fragment listu zapraszającego, jaki niedawno otrzymałem: „Xxxx is honoured to announce RDC-2026, a prestigious international platform committed to advancing excellence and innovation in chemical sciences. The conference will bring together leading researchers, academicians, and industry professionals from around the world to exchange insights, discuss emerging trends, and explore groundbreaking advancements shaping the future of the field. We would be honoured to have you present your work titled *Obituary to Professor xxx xxxo* at the conference. Your expertise would be a valuable addition to the program”. Wyksowałem nazwę organizatora (poważny) oraz nazwisko i imię Śp. Profesora, przyjaciela z Japonii, o którym pisałem wspomnienie. Zwróciłem się do autora listu z pytaniem, czy naprawdę zaprasza mnie do wygłoszenia nekrologu i dostałem odpowiedź z przeprosinami. Zatem chyba sztuczna inteligencja dokłada swoje do akcji zapraszających...

JANUSZ LIPKOWSKI

Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
(emeritus)

Sztuczna półinteligencja

Ubawię czytelników następującą historią. Czasopismo amerykańskie „Theory and Society” (należące do wydawnictwa Springer Nature) zamówiło i otrzymało dwie recenzje mojej książki, *A Critical Introduction to Contemporary Social Theory...*? która ukazała się w zeszłym roku w nowojorskim wydawnictwie Routledge. Redaktor naczelny czasopisma zwrócił się do mnie z prośbą o odpowiedź na recenzje, bo pragnął opublikować w formie symposium dyskusję na temat dzieła. Ucieszyłem się, bo to stosunkowo rzadkie wyróżnienie, zapewniające książce większą widoczność. Napisałem 10-stronicową odpowiedź, którą redaktor przyjął bez zastrzeżeń, a nawet z komplementami, i skierował do produkcji. Kilka dni później napisał mi z zażenowaniem, że aby produkcja to przyjęła, nie wystarczy, że on to przekazał, muszę również wprowadzić swój tekst przez SYSTEM. Zajął mi to więcej czasu niż napisanie tekstu, nie mówiąc o emocjach, raczej negatywnych, bo wymagało to przejścia kilkudziesięciu kroków, a SYSTEM nie rozpoznawał podanej formy,

a tylko pełne artykuły i zwracał mnie ciągle z długiej drogi. W końcu tekst przyjął, „zbudował PDF”, który kazał mi aprobować. Potwierdził mailowo przyjęcie *submission*. Odetchnąłem z ulgą, jakże naiwnie. SYSTEM wszystko mi zwrócił, bo w moim tekście jest moje nazwisko jako autora recenzowanej książki, na której recenzje odpowiadam, a także nazwiska dwóch recenzentów, którzy wydali opinię o książce na zlecenie „Theory and Society”. Mam wszystko wprowadzić od początku, usuwając te nazwiska, bo tekst musi być *blind*, i co więcej, wskazując następnych sugerowanych recenzentów. Recenzentów odpowiesz na recenzje, którzy otrzymawszy mój tekst bez tych nazwisk, w ogóle nie będą mogli zrozumieć, o co chodzi!!! Koło absurdu się zamyka.

Oprócz różnych niebezpieczeństw sztucznej inteligencji, o których dużo się pisze, warto pamiętać i o tym, że sztuczna inteligencja może okazać się półinteligencją. I także w tym doskonalszą niż ludzkie umysły.

PIOTR SZTOMPKA

Szanowna Redakcjo,

W interesującym artykule pana Andrzeja Madeja z PTE, zatytułowanym *Autonomia poznawcza dla sprawiedliwego rynku* (PAUza 780), znalazłem zdanie, że potrzebne jest „poszukiwanie formy zamieniającej informacje w rozumienie i charakter”.

Przypomniało mi to moje wykłady, które ładnych kilkanaście lat temu prowadziłem w Chinach dla pekińskiej kadry kierowniczej. Omawiałem wówczas sprawę zarządzania wiedzą w przedsiębiorstwach, zwracając uwagę, że ten modny ówczesnie trend powinien zostać przekształcony w zarządzanie mądrością, gdyż daje to o wiele lepsze rezultaty. Kładłem nacisk na to, że dane to nie informacja, informacja to nie wiedza, a wiedza to nie mądrość.

Moi słuchacze, bardzo zdyscyplinowani i bardzo sympatyczni, zazwyczaj po kilkunastu, a nawet kilkudziesięciu latach doświadczeń kierowniczych, pilnie notowali, mniej dyskutowali.

Miałem z nimi dobrą relację, a wręcz odnosiliśmy się do siebie z zaufaniem.

Któregoś dnia, podczas przerwy w wykładzie, jeden ze starszych słuchaczy podszedł do mnie, pochwalił to, o czym mówiłem, i ścisłym głosem dodał: „A Konfucjusz rzekł, że nawet mądrość nie jest w stanie uczynić z kogoś dobrego człowieka”. Spojrzał mi głęboko w oczy i uściśnął dłoń.

Tyle à propos poznania sprawiedliwego rynku.

Z wyrazami szacunku,

JAN NAPOLEON SAYKIEWICZ, Ph.D., D.Sc.

Profesor emeritus
Duquesne University, Pittsburgh, PA

Dobra debata, ale...

W końcu sierpnia redakcja PAUzy otrzymała zaproszenie, wyśtosowane do przedstawicieli mediów, na debatę z kandydatami na urząd Prezydenta Miasta Krakowa. Zapraszającym było stowarzyszenie EMBA&MBA HUB, które występuje jako ponaduczelniana społeczność liderów i menedżerów, łączących doświadczenie biznesowe z naukowym i eksperckim. W przygotowaniu debaty brały też udział: Polsko-Amerykańska Szkoła Biznesu – Program Executive MBA Politechniki Krakowskiej oraz Krakowska Szkoła Biznesu z UE w Krakowie. Debatę odbyła się 1 września na terenie imponującego kampusu czyżńskiego Politechniki Krakowskiej. Uczestniczyło w niej ośmioro zarejestrowanych w tym czasie kandydatów na urząd Prezydenta. Formuła debaty narzucała konieczną dyscyplinę: wszyscy kandydaci otrzymali zestaw dziesięciu identycznych pytań, na które odpowiadali w wylosowanej kolejności. Rygorystycznie przestrzegany czas odpowiedzi na każde z nich wynosił 2 minuty.

Przygotowane przez organizatorów pytania w znacznej części dotyczyły jakości zarządzania miastem, przedsiębiorczości i współpracy samorządu z nauką i biznesem. Były też, rzecz jasna, „klasyczne” pytania o transport miejski, deficyt budżetu, czy sytuację mieszkaniową. Dzięki wspomnianej dyscyplinie debata trwała „tylko” nieco ponad trzy godziny. Zdumiała mnie niespotykaną w dzisiejszych czasach kulturą wypowiedzi. Często przy diametralnie różnych poglądach kandydaci odnosili się do siebie z szacunkiem, czasem z żartobliwym pobłażaniem czy szczyptą humoru.

Wybrałem się na tę debatę wyposażony w pytanie, które podsunął mi redaktor naczelny: „Jak kandydat proponuje rozwiązać problem braku mieszkań studenckich?”, uzupełniając je podpowiedzią, by stworzyć zachętę dla wynajmujących w formie zwolnienia z podatku od najmu. Zrozumiała formuła debaty nie przewidywała wprowadzenia pytań zaproszonych, ale to nie tłumaczy braku pytania o tak oczywisty problem. Kto, jak nie środowisko akademickie, ma się o to upominać?

PIOTR MALECKI

Instytut Fizyki Jądrowej PAN
(emeritus)

Prezydent Rzeczypospolitej broni honoru Polaków

„There are few virtues that the Poles do not possess – and there are few mistakes they have ever avoided”.

Te słowa Winstona Churchilla przychodzą na myśl, gdy patrzymy dzisiaj na relacje polsko-ukraińskie. Najpierw wspaniały zryw do pomocy uciekającym przed wojną Ukraińcom. Potem powolne sączenie w mediach niechęci, wreszcie fatalny gest prezydenta. Czyli kolejny raz to samo. Wspaniali, pełni poświęcenia Polacy dokonują rzeczy nadzwyczajnych, a potem za sprawę biorą się sykofoanci oraz politycy i niszczą to piękne osiągnięcie w imię swoich partyjnych interesów.

Błądzenie jest rzeczą ludzką, a politycy są tylko ludźmi. To też błędy są nieuniknione. Ale okropnie irytujące – bo niepotrzebne – są błędy wynikające z niezdrowej ambicji pokazania „kto ważniejszy” lub z fałszywej potrzeby demonstrowania „dumy narodowej”. Zazwyczaj daje to politykowi chwilowy poklask tłumy, ale długofalowe skutki dla państwa są ponure.

Historycy potrafią, myślę, wyliczyć szereg takich zupełnie zbytecznych polskich błędów. Mnie nasuwają się dwa.

Podobno król Jan III Sobieski, po wiedeńskim zwycięstwie sprytnym gestem sprowokował Cesarza do złożenia mu ułonu, co oczywiście wywołało entuzjazm szlachty, ale niewątpliwie zostało poczytane za obrazę. Czyli upokorzyliśmy sojusznika i niejako zwolnili go z poczucia wdzięczności za uratowanie stolicy. Po co? Ano po to, żeby szlachta – jak Polska długa i szeroka – mogła rechotać z zadowolenia, a król zyskał na popularności.

To jednak tylko anegdota i incydent dyplomatyczny, być może bez większego znaczenia. Znacznie poważniejsze skutki miała reakcja rządu londyńskiego na ujawnienie mordu w Katyniu. W sytuacji gdy Anglia i USA starały się zamieść sprawę pod dywan, aby nie narażać sojuszu ze Stalinem, polski rząd nagłośnił problem, ułatwiając Moskwie zerwanie układu Sikorski-Majski i w rezultacie zatrzymanie w łagrach tysięcy Polaków, którzy mogli być zasilic armię Andersa. Przyznaję, że inna decyzja była trudna, bo wzburzenie polskiej opinii publicznej było ogromne i zrozumiałe. Rozsądek jednak mówił, aby działać wspólnie z aliantami. O prawdę można było zapomnieć się po zwycięstwie, tak jak to zrobiły Anglia i USA w procesie norymberskim.

Odebranie prezydentowi Ukrainy Orderu Orła Białego jest właśnie takim niepotrzebnym polskim błędem. Tym razem o poważnych konsekwencjach, bo gest ten w dużym stopniu zmarnował wkład, jaki Polacy i państwo polskie wnieśli w pomoc sąsiadowi, napadniętemu przez Putina. Naturalnie popularność Pana Prezydenta wzrosła, bo teren był dobrze przygotowany podłą kampanią, oskarżającą władze Ukrainy o brak wdzięczności oraz przypisującą Ukraińcom winę za niedostatki naszego państwa, w tym problemy opieki socjalnej i służby zdrowia. Na nic głosy ekonomistów, że to Ukraińcy podtrzymują dzisiaj naszą gospodarkę. Na nic apele do katolickich sumień. Sponsorowane przez Rosję trolle są silniejsze.

W imię „honoru narodowego” Pan Prezydent unieważnił więc w oczach wielu Ukraińców trud milionów Polaków, którzy spontanicznie pomogli sąsiadowi w najcięższych chwilach. Nie trzeba być psychologiem, aby wiedzieć, że domaganie się „wdzięczności” za okazaną pomoc generuje jedynie niechęć.

Można by sądzić, że dostaliśmy tylko kolejne potwierdzenie znanej opinii Napoleona, że w polityce głupota nie stanowi przeszkody.

Niestety, tym razem to nie głupota. To celowe podsycanie urojenia wielu Polaków, że jesteśmy starsi, stoimy wyżej i dlatego Ukraińcy winni nam się kłaniać. A my mamy prawo tego od nich wymagać.

Urojenie doprawdy szalone. Pomijając już, że Ruś Kijowska jest równie stara jak Polska, to przecież dzisiejsza ukraińska świadomość narodowa wykuwała się od kilkuset lat i to w uporczywej walce. Najpierw, niestety, z Polską. Teraz – na nasze szczęście – z Rosją. Trudno więc odczytać decyzję Pana Prezydenta inaczej niż jako próbę blokowania historycznej szansy zbudowania przyjaznych relacji z Kijowem. Szansa, która pojawiła się niespodziewanie, po raz pierwszy od kilku wieków, wskutek fatalnego błędu Moskwy. Pozostaje mieć nadzieję, że naturalna zniechęć interesów Polski i Ukrainy unieważni – z czasem – skutki tego nieszczęsnego naruszenia polskiej racji stanu.

Obłudę tej decyzji świetnie wypunktował niedawno profesor Sergiusz Michalski w tekście, z którego obszernymi fragmentami warto – jak sądzę – zapoznać również naszych czytelników.

O ironio – czyli o nieoczekiwanych aspektach wizyty Zełenskiego w Lublinie¹

Siedzę sobie spokojnie przed telewizorem i słucham transmisji z przybycia Prezydenta Zełenskiego do Lublina. W pewnym momencie reporter informuje nas, iż kawalkada pojazdów wioząca Prezydenta Ukrainy zmierza ulicą Jerzego de Tramecourta do przyległego Urzędu Wojewódzkiego, by spotkać się tam z Donaldem Tuskiem.

Przeżyłem szok. Jako historyk sztuki badający obrazoburstwo, ale też obeznany ze stosunkami polsko-ukraińskimi, znam po bieźnie postać majora de Tramecourta, od września 1937 do września 1939 wojewody lubelskiego. W roku 1938 nadzorował on i niekiedy sam przeprowadzał haniebną proces burzenia cerkwi i cerkiewek na Chełmszczyźnie i południowej Lubelszczyźnie. Jak chwalił się w sprawozdaniu złożonym rządowi w Warszawie, w ciągu tylko 60 dni roku 1938 rozebrano lub totalnie zniszczono 127 cerkiewek. [...] Akcja ta niesłychanie wzburzyła społeczność prawosławną i ukraińską w II Rzeczypospolitej. Jej dalekosiężne, zatrute owoce zebraliśmy mutatis mutandis w masakrach wołyńskich roku 1943. Również na innych polach działalności de Tramecourt reprezentował w napiętej sytuacji ostatnich lat przedwojennych niesłychanie krótkowzroczne stanowisko antyukraińskie. A teraz wozimy Prezydenta Zełenskiego, któremu samemu zarzucamy kult „bohaterów UPA”, ulicą nazwaną nazwiskiem wyjątkowo obrzydliwego sanacyjnego ukraiñożercy. A gdyby to Zełenski wysiadł nagle z samochodu i zażądał od strony polskiej – posługując się opaczną dialektyką Karola Nawrockiego – w imię ochrony „godności i dumy” narodu ukraińskiego zmiany szyldów ulicy?

Oczywiście de Tramecourt miał i inne oblicza. Był podobno sprawnym administratorem, doprowadził też do rozszerzenia COP-u na Lubelszczyznę, we wrześniu 1939 spowodował i nadzorował skuteczne ukrycie „Bitwy pod Grunwaldem” i „Kazania Skargi” Matejki, co uratowało te wspaniałe obrazy przed zniszczeniem. Za to i za inne działania został już w październiku 1939 aresztowany przez Gestapo i rozstrzelany w miesiąc później. Poniósł więc męczeńską śmierć i o tym też powinniśmy pamiętać. [...]

Meandry historii bywają bardzo splątane...

ANDRZEJ BIAŁAS

¹ Zob. S. Michalski, *O ironio – czyli o nieoczekiwanych aspektach wizyty Zełenskiego w Lublinie*, Polityka, nr 33/2026 (3577) z 11 sierpnia 2026, Do i od Redakcji, s. 92.